

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 4 z dnia 27 stycznia 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY BRACKA 25

MATERIAŁY:

WŁOŃ,
BAWELNY,
JEDWABIE

BIELIZNA:

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA:

WYPRawy ŚLUBNE

OD 300 RP

OKRYCIA
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKNIENKI DLA PANIENEK — UBRANKA DLA CHŁOPCÓW

OBUWIE
DAMSKIE
DZIECIĘCE

1002

BRAT ALBERT.

(Adam Chmielowski).

Gdy poddasz się działaniu jakiejś Idei i zaciągniesz całkowicie w Jej służbę — stajesz się niezwykłym.

Cecil Rhodes.

Dziwnem wydać się może, że na wstępie tego szkicu o ś. p. Bracie Albertcie cytuję zdanie... Cecila Rhodes'a. Robię to jednak w tem przekonaniu, iż właśnie Brat Albert należał do tego typu męskiego, do tej „rodziny” męskiej, co i tamten.

Wydać mi się, że Homer swym niezawodnym instynktem twórczym odkrył, iż cały rodzaj męski zawiera się w kilku ledwie typach zasadniczych, a reszta, to już tylko warianty i odmiany tych typów. Odmiany Achillesów, Odyssów, Ajaxów spotyka się po dziś dzień i do końca świata.

Ś. p. Adam Chmielowski był jedną z odmian takiego zasadniczego typu męskiego, który bez względu na rasę, położenie geograficzne i t. p. odnaleźć można w całej Europie, w szczególności zaś w Anglii. Brak mi miejsca w tym artykule na szerszą eksplikację tego konceptu, ale zrobię to może szerzej i dokładniej przy innej sposobności.

Typ, który mam na myśli, a do którego zaliczam ś. p. A. Chmielowskiego, ma tę, w mych oczach, szczególną cechę, odróżniającą go od in-

nych, że jest podatnym na działanie tych sił, które nazywamy: *Ideami*.

Zbyt wielki mam szacunek dla tego, co mi się wydaje: Ideą (materiałnej pewności tu niema, podobnie, jak przy usiłowaniu ścisłego określenia np. siły, zwanej: elektrycznością), bym wierzył dziś, że coś tak wielkiego, o takiej potęgze działania i na tak niezmierną długość czasu, jak się to objawia w działaniu Idei, mogło zrodzić się w biednym mózgu ludzkim. Człowiek nie tworzy Idei, ale odwrotnie: Idea tworzy ludzi. Tylko, że nie każdy typ męski podatny jest na to działanie siły niewidomej, nie materiałnej, z którą obcowanie jest równie groźne, jak dotknięcie potężnego prądu elektrycznego. Trzeba szczególnych „danych”, by mózg odczuł Ideę, odczuł doniosłość i potęgę jej działania i mózg oddać się jej całkowicie. Jakże inaczej wytłómaczyć siłę tych ludzi, którzy zaciągnęli się w służbę Idei?

Życie i dzieło Brata Alberta jest właśnie doskonałym przykładem i lekcją, nie „moralności”, lecz tego, co otrzymuje się w zamian za od — i —

poddanie się działaniu Idei. Ludzie należący do tego typu męskiego są z reguły ludźmi silnymi, i na ten to typ właśnie, tak, jak mnie się rzecz przedstawia, Idea... poluje. Zupełnie, jak myśliwy na zwierzynę¹⁾.

Ten typ męski dochodzi zwykle w pewnym okresie życia do jakiejś „kryzys”, do przełomu, gdzie staje podobnie, jak Herkules: na rozdrożu. Za busolę służy wtedy tylko instynkt i *sma*k, który wybiera: na prawo lub na lewo.

Z reguły, człowiek przekonuje się prędzej czy później, że jest, właściwie mówiąc, „śmiecim”, który Los, życie gnie, jak wosk i kruszy; wielkich i małych, słabych zarówno, jak silnych. Tego rodzaju „pokora”, do której dochodzi się z biegiem lat, jest zawsze wyrazem dobrego smaku. Zdolność wyciągania daleko idących następstw z tego faktu możliwa jest tylko u ludzi wielkiego „charakteru” i jedynie ten typ męski zdolny jest do tworzenia rzeczy o trwałej wartości, z których potem żyją całe pokolenia. Nie myślę negować racji bytu, ani lekceważyć innych typów męskich, usiłuję pokazać jedynie, jak mi się przedstawia *obraz* działania takich ludzi, do jakich zaliczam ś. p. Adama Chmielowskiego.

¹⁾ Wyraził to niesłychanie prosto i pięknie A. Mickiewicz, w „Dziadach”:

„Łatasz mój ptaszku, wysoko łatasz,
„A czy znasz siłę twoich skrzydełek?...
„Pomnij na ziemię, którą *pomiatasz*,
„Co tam wabików, co tam sidełek!”

Nie wydało mi się nigdy, by był „dziwakiem“, człowiekiem „złamanym“, „mystykiem“ i t. p.

Całe jego życie określały trzy znane i ważne fakty. Brał udział w powstaniu, był malarzem, potem założył zakon, którym kierował do końca życia. Życie to wyraża cały okres naszego bytu od r. 1863 aż po dzień dzisiejszy i dlatego jest dla nas ważne. Składa się ono z dwóch aktów: romantycznego i pozytywnego, realnego. Romantycznym był jego poryw i udział w powstaniu, które zawiodło; pozytywną była jego organizacja zakonu bractwisków opiekujących się bezdomnymi, anonimowymi nędzarzami. Brat Albert zstąpił w pełni sił męskich do „bas fonds“ ludzkiego życia dlatego, że samo wielkie, twórcze życie kochał całą siłą swej pięknej i wielkiej duszy, nie zaś, jak sobie może niejeden „idealista“ wyobraża, za jakąś „pokutę“, z „rezygnacji“, „mystycyzmu“. Takiej siły, jakiej Brat Albert dowiódł, organizując i realizując swe Dzieło, żaden człowiek „pogrzebiony“ przez życie i złamany niem absolutnie posiadać nie może. Takimi raczej opiekował się Brat Albert i starał skutecznie pogodzić ich z losem.

Nam, urodzonym po r. 1863, epoka ta znana jest tylko z literatury, z poezji, głównie z obrazów A. Grotgera. Znamy ją więc po przez piękny wolał poezji, legendy, ale obecne czasy dały nam odczuć doraźnie podłość tej rzeczywistości, jakiej świadkiem był ś. p. A. Chmielowski. Dziś to nie trudno odczuć. Potem wyjechał za granicę, w ślady za innymi, do Monachium, gdzie polacy czuli się wtedy dobrze. Usiłował uciec od życia w regiony Sztuki, zaczął malować. Jego obrazy są prawie wszystkie conceptami „literackimi“, jak to wskazują dowodnie tytuły jego dzieł, co zresztą było wówczas w modzie i należało do smaku tej epoki. Opowiadano mi, że wtedy znał się z A. Böcklinem i z nim „stawiał“ współczesną teorię koloru. Jest to możliwe, bo obaj mieli wybitne zdolności kolorystyczne i wrażliwość na barwę, które wyrażały w swych dziełach. Być może, że gdyby stan ówczesnej kultury polskiej a szczególnie kultury sztuk plastycznych był u nas wyższy, Brat Albert byłby i nadal został malarzem. Nie śmiem tego twierdzić na pewne. Inni bowiem jego koledzy i przyjaciele, jak Chelmoński, Gieryski Aleksander, nie porzucił swej pracy, jakimkolwiek było ich życie. Adam Chmielowski więcej bodaj miał od nich żywotności, więc nie abnegacja doprowadziła go do zerwania ze sztuką. A. Gieryski np. znany był

ze swej ponurości i pesymizmu, Brata Alberta zaś cechowała pogoda i humor jowialny¹⁾.

Inne zatem musiały być powody tego „odstępstwa“, niż utajone zawody życiowe i t. p.

Brat Albert poszedł za jakimś głosem, który sam tylko słyszał, za popędem jemu jedynie właściwym, który dojrzał w nim do takiego napięcia, że przystąpił do realizowania swej *myśli*, bez wahania.



Adam Chmielowski – Brat Albert.

Powiedziałem wyżej, że Brat Albert zstąpił do „bas fonds“ ludzkiego życia, odnalazł w nich pole dla swej działalności. Zstąpił!... Ten wyraz przywodzi mimowoli na pamięć całą wielką poezję pieśni przed Wielkanocą, której wielki sens śpiewa samo wielkie odradzające się z roku na rok Życie, po przez całą długość dziejów ludzkości. Kto lubi, mało, kto kocha Poezję, a Brat Albert musiał ją kochać i odnalazł jej *nowe* walory w tych „bas fonds“ — ten poimie nie trudno sens postanowień takich, jakim był Czyn Brata Alberta. „Kto lubi poezję...“ Wszakże *je- dyną* namiętnością tak straszliwie pozytywnego lorda Kitchener’a była namiętność do... zbierania porcelany, a podobno i do innych rodzajów dzieł sztuki!... Przy kontemplacji i roz-

¹⁾ Gatunek humoru B. A. charakteryzuje dobrze następująca anegdota: Ranny ciężko w nogę, w 1863 r., pielęgnowany był w gościnnym domu pp. Puławskich, w Siaszycach, w Kaliskiem. Po amputowaniu tej nogi wrócił tam, by podziękować gospodarzom za troskliwą opiekę w czasie choroby. Tego dnia wieczorem wpadł na pomysł ubawienia towarzystwa za pomocą swej „protezy“. Nogę miał sztuczną, przypinaną. Wyciągnawszy ją, do posługującego dworskiego chłopada powiedział: „No, zdejmuj!“ Chłopak pociągnął. „Nie tak mocno, bo nogę oderwiesz!“ krzyknął nagle. W tejże chwili chłopak zobaczył, że istotnie nogę „oderwał“ i przerażony wybiegł, wołając: „O, la Boga!“

ważaniu psychologii tego gatunku czynów ludzkich mikroskop ani tabliczka mnożenia nie wystarczają.

„Więc ty jeszcze malujesz?“ — zapytał raz J. Chelmońskiego ś. p. A. Chmielowski, spotkawszy się z nim w Krakowie. W pytaniu tem to „jeszcze“ jest bardzo charakterystyczne. Dowodzi ono, jak *głęboko* Brat Albert wszedł był w życiowe „bas fonds“; w jego sedno, że *mógł* pytanie to zadać dawnemu koledze, którego wielkość talentu znał dobrze i równie dobrze wiedział, jakie *zadania* stawia człowiekowi taki talent. Dowodzi ono, do jakiego stopnia zapomniał, stracił z oczu zupełnie ludzi, niegdyś sobie pokrewnych i blizkich, iż *mógł* pytać tak artystę, któremu powołanie było „obowiązkiem“ równie silnym, jak ten, za którego głosem poszedł Adam Chmielowski.

Chelmoński miał odpowiedzieć z zażenowaniem: „A tak, maluję jeszcze, a ty?“

„Uważam, że w życiu jedynie warto jest robić dobrze“.

Cytuję z pamięci to, co opowiadano mi dawno już, ale z tem, że tak być mogło. Dyalog ten ma cechy autentyczności. Jeżeli się zważy, jak Brat Albert głęboko zejść musiał w ten krąg życia, który dla swej pracy zorganizował, łatwo pojąć, do jakiego stopnia nasiąknąć musiał tem „seryo“, tą okrutną powagą zjawisk odsłaniających nagą, surową prawdę życiową, od której nie odrywał oczu ani na chwilę.

Dzieło jego było aktem zaparcia się „abnegacji“ — to prawda. Ale pozatem, był to akt czynnej, „aktywnej“, jak się dziś mówi, *wia- ry*, od którego cała przepaść dzieli przeciętnego zakonnika, abnegata, ograniczającego swą czynność do obojętnego spełniania przepisów.

Czyn Brata Alberta jest czemś wyjątkowem w życiu polskiem, jest wskazówką i wzorem, jest przykładem, jak nieograniczone są *możliwo- ści* skutecznego wydłowywania energii i woli. Jest wielką lekcją, jeśli już kto tego chce, „moralności“ dla tych sceptycznych, wiecznie we wszystko wątpiących rzesz ludzi u nas, którzy jak grzyb rozkładu pędzą swój pasożytniczy żywot na cie- le ogółu.

Z powyżej przytoczonej rozmowy przebija się cały „*pozytywizm*“ Brata Alberta, jego oryginalny realizm, naprawdę wzruszający, gdy się nad nim głębiej zastanowić.

Jako analogia przypomina mi się jedynie „*dyscyplina*“ życiowa



J. Gumowski.

Placówka na reducie. St. Budzyński, J. Kaczorowski. M. Zahorowski, J. Rudolf.

Maupassant'a i Flauberta. ich wielkie charaktery, dzięki którym mogli **wytrzymać** w tej atmosferze, jaką musieli sobie stworzyć, by z taką prawdą otwierać realizm wizji codziennego, pospolitego życia.

Maupassant nie wytrzymał do końca. Dostał obłędu dlatego, że zabiła go bystrość jego i jasność widzenia tej rzeczywistości, tej szarej po-

spolitości, z której tyle poezji zdołał wyciągnąć, zabiła go pewność, że po za ten krąg wyjść nie można.

To są dramaty autorów.

Jak silnym więc musiał być organizm Brata Alberta, że mógł znieść i wytrzymać napór tej codziennej prawdy, oglądanej bez obston, jak wielką pogodą duszy i tą tajemniczą w swej istocie wiara, że podjęty

przez siebie obowiązek spełnić mógł do końca. Dla psychologa „bohaterstwa” życie i Dzieło Brata Alberta są ważnym przykładem i „tematem”. Są one „par excellence” współczesne, jako forma, jako wyraz. Tacy ludzie „usprawiedliwiają epokę”.

W. Mitarski.



Pierwsze czynności Rady Stanu.

Nasza Rada Stanu już się ukonstytuowała, prezydum sobie obrała, odezwę wydała do narodu, weszła w stały stosunek z komisarzami państw okupacyjnych, komisye pierwsze sobie utworzyła.

Pracuje już i działa.

Odezwę wydano w dniu 15 stycznia; jest ona rozważonem i rozważnem orędiem i do rozumu polskiego się odwołuje. Jest w niej program Rady Stanu. Poczucie i przyjęcie odpowiedzialności program ten poprzedza. Na pierwszym po za tem miejscu jest „możliwie rychle przygotowanie sejmu prawodawczego oraz opracowanie konstytucyjnego ustroju Państwa”. Natychmiast potem znajdujemy w odezwie wskazanie dla tych, którzy projekt konstytucyi układają będą: *równouprawnienie wszystkich obywateli*. I drugie wskazanie: oparcie państwa na czynnem współdziałaniu *szerokich mas ludowych*. Tego w istocie potrzeba, aby państwo polskie stało się państwem nowożytnem.

Na drugim miejscu zaraz mamy: „Stworzenie licznej, bitnej a karnej armii polskiej, która wierna naszym wielkim rycerskim tradycjom wskrzesiłaby dawną chwałę oręża polskiego”.

Widzimy dalej w odezwie zorganizowanie Polskiego Skarbu Wojskowego, — wszystkich gałęzi administracji kraju, — a wreszcie: uruchomienie przemysłu, — odbudowę siedzib, — zaspakajanie potrzeb pracującego ludu.

Program taki musi zadowolić i myśl polityczną polską i uczucie państwotyczne polskie, i stać się granitowem oparciem dla polskiej woli, polskiego wysiłku, polskiego czynu.

Stworzenie Wydziału Wykonawczego było drugą zaraz, po wyborze prezydum, organizacyjną czynnością Rady Stanu. Wybrano pp. Piłsudskiego, Bukowieckiego, Lempińskiego, Janickiego, Dzierzbickiego, Kunowskiego, hr. Roztworowskiego.

Komisya wojskowa, która porozumiewa się z niemieckimi i austro-węgierskimi władzami w sprawie tworzenia armii polskiej, wybrała sobie za referenta Piłsudskiego, który w dniu 20 stycznia złożył już Radzie Stanu pierwsze sprawozdanie.

Do komisji, która opracować ma ustawę pierwszego Sejmu i projekt

Konstytucyi, wybrano pp. Grendy-szyńskiego, Bukowieckiego, Lempińskiego, ks. Przeździeckiego, hr. Roztworowskiego.

Natychmiast po otwarciu Rady Stanu różne instytucje pospieszyły złożyć hołd pierwszemu polskiemu rządowi i swoje posłuszeństwo mu zadeklarować. Pierwszy uczynił to komendant Legionów, hr. Szeptycki, jeszcze przed pierwszym posiedzeniem Rady Stanu, zaraz po uroczystem nabożeństwie w katedrze. Rzekł:

— Wojsko polskie składa wam, panowie, honory, jako prawowitemu rządowi polskiemu.

Ten prawowity rząd polski, musimy to podkreślić, swoje czynności, wychodzące z koła niezbędnych a uroczystych formalności, rozpoczął od *uroczystego przyrzeczenia*, które złożył naprzód p. marszałek koronny a za nim i w jego ręce wszyscy radcowie. Oto ono przyrzeczenie:

„Obejmując stanowisko marszałka Tymczasowej Rady Stanu, przyrzekam uroczyście Ojczyźnie i narodowi polskiemu z całej duszy wiernie służyć, pożytek państwa polskiego i dobro publiczne według najlepszego zrozumienia zawsze mieć przed oczyma, przepisów prawa i postanowień Rady Stanu ściśle przestrzegać, obowiązki urzędu swego spełniać gorliwie i sumiennie”.

Aktywistyczne partye niezwłocznie pospieszyły z wyrazami hołdu i posłuszeństwa. Uczyniły to: Centralny Komitet Narodowy, Zjednoczone Stronnictwa Pracy Narodowej i Radykalno-Narodowe, Liga Państwowości Polskiej, Klub Państwotców i inne. Komendant Polskiej Organizacji Wojskowej w odezwie do Rady Stanu oddał jej tę wielką organizację do rozporządzenia.

Zebrania ziemiańskie, obradujące w R. G. O. i C. T. R., również zajęły stanowiska wobec polskiego rządu. Postanowiły uznawać w Radzie Stanu rząd polski, do niego się zwracać ze swymi potrzebami, jego uważać jako naturalnego i uprawnionego pośrednika między zrzeczeniami ziemiańskimi i prowincjonalnymi a władzami okupacyjnymi.

W dniu 21 stycznia Centralny Komitet Narodowy zorganizował manifestacyjny pochód do tymczasowej siedziby Rady Stanu, w Pałacu Kro-

nenberga. Na olbrzymich płótnach niesiono napisy: „Czekamy rozkazów Rady Stanu“, „Siła Polscy jest w ludzie, siła ludu w Polsce“ i inne. Ruszono z Alei 3 maja. Na balkonie pałacu Kronenberga ukazali się radcowie z odkrytymi głowami, entuzjastycznie witani. Piłsudski (którego pisma nasze nie przestają szablonowo nazywać brýgadyrem) dał znak, aby okrzyki umilkły, poczem p. marszałek koronny, Niemojowski, przemówił krótko:

— Niech żyje wolna i niepodległa Polska! Niech żyją budowniczo-wie szczęśliwej przyszłości wskrzeszonego Państwa Polskiego! Niech żyje Warszawa, która była zawsze sercem kraju i narodu!

Rada Stanu musi obecnie część swojego czasu poświęcić na odpowiedzi do różnych instytucji, które nadsyłają jej swoje życzenia. Wielkie krajowe i narodowe instytucje Galicji stoją tu na pierwszym miejscu Wydział krajowy, uniwersytety polskie, rady miejskie Krakowa i Lwowa. Odpowiedzi te z natury rzeczy zamknięte być muszą w ramach właściwych sytuacji formalności. Nadesłał i Naczelny Komitet Narodowy swoje gratulacje, w których, podobnie jak i w odpowiedzi na nie Rady Stanu, nacisk na armię polską kładziono szczególny. Sześciu dawnych oficerów rosyjskiego wojska, w imieniu ogółu oficerów-polaków, oddało „swe wierne służby umiłowanej Ojczyźnie“, a uczyniło to krótko i po żołniersku, jak na apel:

— Wysoka Rado, jesteśmy!

98 oficerów, przebywających w obozie wojennym w Helmstedt, nadesłało adres i ofiarę 1.000 marek na wdowy po bohaterach. Prowincya coraz liczniej nadsyła swoje hołdy:

Jednocześnie tworzy się fundusz wojskowy polski. Bezimienny ofiarodawca stotysięcy rubli ofiarował dla inwalidów polskich, jako fundacya imienia Piłsudskiego. P. Dzierzbicki na potrzeby wojska złożył 10 tys. marek. Otwarta lista składek. Wypełniać się ona będzie szybko ofiarami.

v.

ISTNIEJĄCE OD 185 ROKU
Zakłady Ogrodnicze
C. ULRICH
Warszawa, Ceglana № 11,
zawiadamiają, że wyszedł z druku
Cennik nasion na rok 1917
i na żądanie rozsyłany jest bezpłatnie.

Manifestacye na cześć Rady Stanu, d. 21 stycznia r. b.



Z balkonu tymczasowej siedziby Rady Stanu, pierwszy wznioł okrzyk Marszałek koronny Wacław Niemojowski (x), obok stoi komendant Piłsudski.
Fot. Marian Fuks.

W Alei 3-go maja podczas pochodu przemawiają do zgromadzonych tłumów:



Tomasz Arciszewski,

Wacław Sieroszewski,

Dr. Jodko,

Feliks Perl,

T. Szpotański.



Obraz Edwarda Dantana, przedstawiający aryergardę literacką w Komedii francuskiej.

Aryergarda literacko-artystyczna francuska.

(Echo z niezbyt dawnej przeszłości).

Jako zestawienie porównawcze obrazu zanikania całych generacji przodków umysłowego życia narodu w przestrzeni czasu nie przekraczającej lat czterdziestu; z obrazem, odtworzonym w piśmie naszym w artykule: *Aryengarda literacka warszawska*, posłużyć może malowidło z natury, pędzla Edwarda Dantana, zdobiące foyer komedii francuskiej w Paryżu.

Z liczby kilkudziesięciu literatów i artystów, którzy w siódmym dziesiątku ubiegłego stulecia gromadzili się na wieczorach piątkowych w salonach nieżyjącego już Stanisława hr. Kossakowskiego, pozostał przy życiu — jeden jedynie pisarz.

Z takiej-że liczby najgłośniejszych twórców i artystów paryskich, których tak zwane „premiery” teatralne gromadziły w widowni komedii francuskiej, pozostało, po upływie lat czterdziestu z okładem — kilku zaledwie przy życiu.

Nie wyprowadzając wniosków z owej statystyki zgonów przedstawicieli umysłowości i twórczości danego narodu —

coby do dosyć smutnych doprowadziło refleksyj — poprzestaną na przypomnieniu między innymi nazwisk owych sportretowanych nieboszczyków (drukowanych *cursive*), którzy talentem swoim i zasługami nie przestali żyć w pamięci kulturalnego świata, pomimo, że nie wszyscy między nimi zaliczeni byli do grona „nieśmiertelnych” Akademii francuskiej.

W szeregu najbliższym kurtyny, poczynając od strony lewej od widza, spotykamy zwróconego ku łóżom z lornetą teatralną w rękę głośniego ongi recenzenta gazety „La France” *P. de Lapomèray’a*. Równorządnie z nim widzimy stojącego *Emila Zolę*, przy nim zaś poczytnego ongi *Alberta Wolffa*, kronikarza *Figara*.

W pośrodku między nimi mieści się *Ernest Renan*, filozof i historyk. Za *Albertem Wolffem* stoi *H. O. Halanzier*, dyrektor Opery paryskiej, przy nim zaś ze wspaniałą brodą artysta-malarz *Ernest Meissonier*. Za tym spotykamy *Ohnet’a*, a przy nim dowcipnego i ciętego *Franciszka Sarceya*, recenzenta *Siècla* i *Temps*. W kapeluszu na głowie stoi romansopisarz, *Alfons Daudet*, za nim dramaturg, *Henryk de Bornier*, wyżej zaś twórca *Małgorzaty*, *Karol Gounod*, przy nim zaś: krytyk *Dreyfus* i *Armand Silvestre*, liryk i nowelista. W drugim szeregu od góry widzimy dyrektora teatru wolnego *An-*

toina, Amedeusza Duquesnel’a i *Edmunda de Goncourt*, *Pawła Bourget’a* i *Oktawiusza Feuillet’a*, *Jana Richepina*, *Ludwika Halevy’ego*, librecistę, *Alexandra Duma-sa* (syna), *Emila Augiera*, *Franciszkę Coppée*, *Victorina Sardou*, *Karola Garniera*, twórcę gmachu Opery, *Edwarda Paillerona*, poetę, *Karola Douceta*, dramaturga, *Arsena Houssaya*, *Juliusza Lemaitra*, *Teodora de Banville*. Po lewej stronie, na dole mieszczą się *Edward Thierry* i *Juliusz Claretie*.

Szereg wymienionych tutaj nazwisk budzi w duszy każdego kulturalnego czytelnika wspomnienia wrażeń podniosłych i estetycznych rozkoszy, wywołanych mistrzowskimi dziełami ludzi, którzy, jakkolwiek tworzyli je z myślą wyłączną o własnym społeczeństwie i dla własnego Narodu, jednakże uważani są za przodowników kultury powszechnej i jako tacy, sympatyczny wśród wszystkich narodów zawsze budzą i budzić będą odźwięk.

Być może, iż los niezbyt był dla nich niełaskawym, usuwając ich z widowni życia, przed nadejściem przełomowej w dziejach Francji chwili, która ma rozstrzygnąć nie tylko o stanowisku jej państwowem, lecz nawet o przyszłości literackiej — ociekającego krwią szlachetną całego obecnego pokolenia...

Al.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Pod blask słoneczny”, komedia w 5-ciu aktach Józefa Wiśniowskiego. TEATR POLSKI. „Biały Kaptur”, sztuka historyczna w 4-ach aktach Stanisława Kozłowskiego.

Kierownictwo Teatru Rozmaitości chciało publiczności warszawskiej dać możliwość oderwania się od wrażeń aktualnych. Wystawiło więc sielską i anielską komedię Józefa Wiśniowskiego o życiu na wsi. Cicha i spokojna wieś polska miała dostarczyć balsamu ukojenia dla przewrażliwionych wypadkami bieżącymi nerwów. Bo to przecież podobno „choć na całym świecie wojna, byle nasza wieś zaciszna, byle nasza wieś spokojna!”

Zamierzenia jednak kierownictwa Teatru Rozmaitości nie osiągnęły spodziewanego celu. Pastelowy obrazek sceniczny p. Wiśniowskiego nie umiał pochwycić w rytm swojego spokoju wyobraźni słuchaczy. I wszystko to, co miało być spokojem, sielskością, rodzimym balsamem polskich pól i łąk, nurzyło i męczyło. Niewymyślna intryga też nie pochwytowała uwagi: już w pierwszej odsłonie stało się to wszystko, co później zostało powtarzane przez następne cztery. Młode panny wyjdą wszystkie za mąż za tych kawalerów, których sobie upatrzyły. Oni zaś w międzyczasie skorzystają z łatwości sytuacji w stosunku do Hanki, wiejskiej dziewczyny, i poczną darzyć ją pocałunkami lub propozycjami. Zaplałat się też na scenie książę. Galicyjskiego pokroju jest ten magnat. W jego majątku odbywają się wszystkie te święty miłosne. Młody książę czeka na narzeczoną. Czekanie uprzyjemnia sobie flirtem z pannami lub też z Hanką. Do jednej żywi afekt gołętszy, ale czeka na niego przecież narzeczoną. Okaże się jednak, że ta narzeczoną „Księżna-pani”, to właśnie owa dziewczyna hoża i rezolutna, do której młody panicz zabierał się tak gorąco, chcąc ją obdarzyć swoją przyjaźnią.

Tylko obraz czwarty na chwilę wzbudził zainteresowanie. Na scenie pokazano nam żniwa. Dekorator osiągnął prostymi środkami bardzo wielki sukces. Publiczność długim i niemilknącym oklaskiem powitała snopy powiązanego zboża, ginące w pięknej perspektywie.

Artyści grali zupełnie zgodnie z intencjami autora. Nic jednak nie mogli zrobić więcej ponadto, co mieli w egzemplarzu. Młodą, przebraną księżniczkę z wdziękiem wyrecytowała p. Lubicz-Sarnowska. P. Trapszo po długiej nieobecności na scenie znów dowiodła, jak inteligentną jest artystką. P. Kotarbiński pomysłowo dał typ hreczkosieja. P. Sliwicki, jako książę Sólmorecki, też rozwinął cały zasób swojej dźwięcznej elokwencji. Wystawa była bardzo staranna.

W Teatrze Polskim wystawiono czteroaktową sztukę historyczną Stanisława Kozłowskiego p. t. „Biały Kaptur”. Autor „Turnieju” dowiódł znów, że zna doskonale tajemnice scenicznego pisarstwa. Umiał on z notatki historycznej o zabójstwie Marata przez Charlotte Cor-



Fot. Malariski & Tavrill.

Charlotte Corday (p. Dunin) w więzieniu, po zamordowaniu Marata.

day, „dziewicę teroru”, zbudować czerpy interesujące akty, które wprawdzie nie zawsze stoją na poziomie tego, co Kozłowski może, jako dramaturg, ale też i nie raża. Sztuka obraca się w sferze uczuciowej elokwencji o rewolucji francuskiej. Niech nikt nie poszukuje w niej syntez wizyjnych, artystycznych panowania „tyranów motłochu, Robespiera, Dantona i Marata”. Kozłowski daje tylko barwne obrazy i umie je wywoływać przez sytuację. Widz patrzy z zainteresowaniem, bo sytuacja układa się łatwo i plastycznie.

P. Charlotte Corday, zwolenniczka rewolucji, a właściwie zwolenniczka wielkich idei wolności, równości i braterstwa, w zacisznej normadzkiej mieścinie śni wizję szczęścia, jakie powinno ogarnąć Francję, gdy ukochane idee znajdą możliwość realizacji. Marat jest tym człowiekiem w mniemaniu p. Corday, który przeszkadza do urzeczywistnienia się tych marzonych haseł. On pławi Francję w krwi, on rządzi terorem. P. Corday postanawia więc zgładzić go; jedzie do Paryża i tu czyn swój wykonywa, choć Marat jest pilnie strzeżony przez swoje domownicy. Corday zostaje skazana na śmierć, umrze też u jej stóp piękny Gaston, zakochany szlachcic, przyjaciel dzieciństwa, co ma odwagę rzucić sądowi rewolucyjnemu słowa prawdy. Na trupie jego Charlotte Corday złoży lilie białą, lilie symboliczną — bo przecież ta lilia, to herb Burbonów.

Charlotte Corday grała p. Dunin. Gastona p. Węgierko. Marata p. Jarniński ujął w swoje mocne ręce i wykazał, że może się uporać nawet z największymi, niepokonalnymi trudnościami, czego znów nie można powiedzieć o p. Kuncewiczu — Robespierre. Sztukę reżyserował p. Sosnowski, wykazując dużą dbałość i pietyzm. Wystawa, jak zawsze w Teatrze Polskim, staranna, artystyczna.

Eust. Czekalski.

TEATR POPULARNO-LUDOWY. „Romuald Traugutt”, dramat w 6-ciu obrazach Konstancy Łozińskiej.

W Teatrze Ludowym na ulicy Kaliska wystawiono sześciobrazowy dramat p. Konstancy Łozińskiej, osnuty na biograficznych wiadomościach, dotyczących udziału Romualda Traugutta w powstaniu. Obraz pierwszy nazwano: „Hej ha! razem chłopcy”, obraz drugi „W lesie”, obraz trzeci „Kołodno”, obraz czwarty „Obalenie rządu wrześnieowego”, obraz piąty „Na Smolnej” oraz obraz szósty „Cela Nr. 20 w cytadeli warszawskiej”. Jak widzimy z układu obrazów, p. Łozińska swój dramat chronologicznie przeprowadziła. Jest to jednak raczej pożyteczne, popularne widowisko, niż w całym tego słowa znaczeniu dramat. Licznie zebrana publiczność ze sfery rzemieślniczych i robotniczych przysłuchiwała się z zainteresowaniem kronice czynów Traugutta, głośno oklaskując wykonawców z p. K. Hoffmanem na czele. Pan Hoffman grał Traugutta oraz reżyserował sztukę. Wy różnił się też temperamentem p. S. Wyrzykowski. Wystawa staranna. F.

Koncert na Wpisy.



Znakomita śpiewaczka p. Janina Korolewicz-Waydowa przyjechała do Warszawy, by dać koncert na rzecz wpisów dla niezaangażowanych uczniów. Koncert odbędzie się 30 b. m.

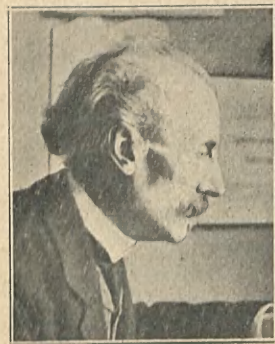
Ś. p. Józef Holewiński.

Dnia 20 b. m. zmarł znakomity drzeworytnik polski Józef Holewiński. Należał on do najwybitniejszych artystów rytowników polskich, którego sława sięgała poza granice kraju. Na całym szeregu wystaw powszechnych i specjalnych w Wiedniu, Paryżu, Berlinie, Monachium, Petersburgu prace jego cieszyły się uznaniem krytyki, przynosząc

artyście kilka pierwszorzędných odznaczeń.

Urodzony w 1848 r. w Warszawie, kształcił się tu w swoim przyszłym zawodzie w pracowni ksylograficznej Jana Styfięgo oraz w warszawskiej szkole rysunkowej u prof. Gersona. To też, gdy powstały „Kłosy“ w r. 1865, młody, a wyjątkowo zdolny artysta znalazł rychło szerokie pole do rozwoju. Prace jego znamięnowały coraz większy postęp, a ryłec jego tworzył prawdziwe arcydzieła. Andrioli, Gierymski, Podkowiński, Pankiewicz, Brandt, Stachiewicz, Jankowski, Ejsmond, Kędziński — a przede wszystkim Matejko i Juliusz Kossak byli natchnieniem dla Holewińskiego.

Około roku 1892 upadło drzeworytnictwo, a wraz z tem i Holewiński musiał poniechać swej pracy. Kierował dalej stroną ilustracyjną „Kłosów“, a następnie „Tygodnika Ilustrowanego“.



Zabójstwo Rasputina.



Książę Feliks Jussupow, w którego pałacu zamordowano Rasputina.



Księżna Irena, z domu Romanowa, małżonka ks. Jussupowa, kuzynka cesarza Rosyi.

(Według portretu malarza Sierowa).



**Pamiętajcie
o wpisach szkolnych.**

Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata“.



Alfreda Konara

„Młodość panny Mani“

powieść Rb. 2.00

„Jesień” „ „ 1.60

Do nabycia we wszystkich
księgarniach

Diadem

Jedynie oryginalna, zaopatrzona w banderole z napisem: „Diadem”.

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

INŻ. JÓZEF FLATAU.

Elektryczność w zastosowaniu
do gospodarstwa domowego i drobnego przemysłu.

Z licznymi ilustr. w tekście.

Opr. w płótno rb. 1.50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nakładem Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie

wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

ENCYKLOPEDJA HANDLOWA

W OPRACOWANIU NAJWYBITNIEJSZYCH SIŁ FACHOWYCH

2 duże tomy, obejmujące razem 764 stron tekstu, 39 map politycznych i produktowych, wykonanych w wielobarwnej litografii, 2 tablice i 7 rycin w tekście.

Cena za 2 tomy w pięknej i trwałej oprawie w półskórek Rb. 20, broszurowane Rb. 16.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 27 stycznia 1917 roku

№ 4

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

14

Ten trans powodzenia, dodający mu jeszcze więcej rozmachu, śmiałości i odwagi — uczuł odrazu; jak aktor na gościnnych występach, zachęcony od pierwszej sceny szmerkami wśród nowej publiczności.

Nawet stary Tomasz, także ogromny familiant, pamiętający doskonale matkę Romka; i ubolewający ongi z powodu jej niewłaściwego meżaliansu — podawał mu półmiski z ogromną zachętą i z maskowanym bardzo dobrotliwym uśmiechem z powodu jego studenckich opowiadań i tak specjalnie smakujących na wsi warszawskich facecyjek i dowcipów.

I Romek nie przestawał czarować towarzystwa niekończącą się liczbą ulubionych i znanych warszawiakom anegdotek, których większość przypisywano jednej z najbardziej popularnych postaci redaktora Latawca:

Oto na kłamliwe oświadczenie pewnego ogólnie znanego powieściopisarza (czerniącego sobie włosy), iż odziedziczył to swoje niesiwienie po matce — ów dowcipny redaktor miał odrzec powieściopisarzowi:

— Nie, to raczej po pomadce.

— Ha, ha, ha! — zabrzmiały dokoła zachęcające śmiechy.

Romek opowiadał teraz o ordynacie Ikskim, nie rozstającym się ze swoim lekarzem i z zaprzyjaźnionym tenorem opery, znanym ze swej brutalności i złego wychowania. O trójcy tej wyraził się podobno ów dowcipny redaktor:

— Oto ordynat ze swoim ordynatorem i ordynusem.

Wreszcie w zapędzie, Romek

rzucił dowcip, trochę już zbyt ryzykowny, którym się bardzo sam spłoszył — na szczęście, niezrozumiany przez małoletnich: Oto pan redaktor odrzekł redakcyjnej korektorce, gotowej, podług własnego oświadczenia, wyruszyć na plac boju w pierwszej wojnie, jaka wybuchnie:

— „Tak! Obyś tylko nie poszła, jako wiwandierka, a nie wróciła, jako dobosz... z bębniem” — zaczął się poniewczasie Romek i wśród sekundy niemiłej ciszy spiekił raka, z powodu niewłaściwości konceptu.

Obie starsze damy z bardzo nie miłym nagłym marsem — zaciśnęły usta. Lecz mademoiselle Céleste, choć nie wszystko rozumiała — godziła się najzupełniej na wszystkie jego opowiadania, jeżeli nie ze względu na słowa, to w każdym razie na muzykę dźwięków. A czarne oczy jej najwidoczniej mówiły:

— No! Chwała Bogu, żeś nareszcie przyjechał! Tylko bądź łaskaw niebardzo przedłużać konkury.

Lecz żar jej uporczywych oczu spotkał się naraz z chłodem jego źrenic, mówiących najwyraźniej:

— I owszem. Nie mam nic przeciwko tobie; lecz byle nie tu, w Jędrzejewicach. Mam zasady.

— O! lą, lą! — zmartwiła się mademoiselle Céleste. — Zdaje się, że on jest bardziej céleste, niż ja.

Wreszcie gdański zegar w jadalni wydzwonił sakramentalnie godzinę dwunastą. Goście powstali od stołu, pożegnali się i rozeszli do swoich pokoiów.

A Zosia, składając do modlitwy ręce, w swojej sypialni — dziękowa-

ła Bogu, mniej szczerze, niż jej się samej wydawało:

— Boże! Dzięki Ci. Nie jest on wprawdzie brzydalem, łysym, w niebieskich okularach; ale, pomimo swoich aksamitnych oczu — prawie tak, jakby...

VI.

Ciotka Benisia, kładąc się do łóżka, czuła, że dzisiejszej nocy spać nie będzie, przekonana, że ani brom, ani chloral, ani weronal nie poskutkuje.

Była zbyt subtelną, aby nie spostrzedz po niewczasie, iż wyrwała się z kapitalnem głupstwem.

— Demaskująca się matrona! Cóż za ohyda! I co za komika!

Ujmowała się za kobiety — ona, która nigdy nie była kobietą, jeno kulfonem! Dopiero teraz po zagazowaniu świecy — wolno jej być sobą.

Czarna noc zakryła swoim gęstym całunem brzydote jej ciała, rzadkość twardych włosów, garb i ręce wachlarzowate.

Odetchnęła, jak wół po chwilo-wem zdjęciu jarzma; jak skazaniec wśród chwilowej przerwy okrutnych tortur. W marzeniach pozbywała się garbu.

Dzisiejsze jej wyrwanie się, z którym tak współczuli jej przyjaciele — to była zaledwie milionowa część jej wewnętrzznego życia, którego tajemnicę udało się jej zataić tak pomyślnie przez ciąg całej długiej wędrówki; prawie od kolebki do mogiły.

Teraz, kiedy noc równała ją z kobietami bez garbu — mogła, jeśli już nie żyć, jak one — to przynajmniej marzyć, tak, jak gdyby była piękną, młodą, normalną.

Tak! Teraz, wśród ciemnej nocy, zaczynało się jej królestwo, królestwo marzeń, uluda złudzeń. Była

prostą, jak topola, kochaną i szczęśliwą. Ha, ha!

Nie była już jasnie panią dzie-dziczką Jędrzejewic, z domu baronówną Winter. Była jedynie przystojną, przeciętną, zdrową szwaczką, którą pokochał jej królewicz, podobny do bogów Olimpu, ze swoją kształtną głową na muskularnym karku; ze swoim krzykiem zdrowia i czarowną pogodą umysłu dużego dzieciaka.

Była matką jego dzieci, żyjącą u jego boku, w atmosferze jego oddechu, dźwięku jego głosu, jego gniewu i jego uśmiechów... On jest — jej. Nikt przecież nie jest w stanie oderwać go od marzeń, od życia nocy! Jest — jej!

Chochlik ciemności i „tik-tak“ zegara — to są jedyni świadkowie jej drugiego życia, tego prawdziwego; bo niemi sprzymierzeńcy nie zdradzą przecież jej tajemnicy.

Siwowłose 56-letni garbus, zakochany w pięknym mężczyźnie, pragnący szczęścia — to nawet nie jest śmieszne; to w pojęciu ludzi jest wprost ohydne; ohydne, nawet bez pragnień, aby te marzenia się spełniły. Nawet gdyby zadawała się, jak ktoś marzący o raju, a nie wątpiący, iż jest on przeznaczonym jedynie dla aniołów.

Od dawna skwitowała z rzeczywistości. Razily jej poczucia estetyczno-moralne — stare kobiety, kupujące sobie młodych, pięknych mężów. Wystarczały jej marzenia, w których nietylko on był młodym i pięknym, lecz i ona. Marzenia swobody tak piękne, że warto dla tego jedynego skarbu nędzarza — budzić się z rozpaczą wieczystego skazańca w kajdanach niewoli.

Pozatem szczyciła się heroiczną siłą swego tryumfu nad własną jaźnią.

Oto ćwierć wieku obcuje ze sobą, on — król oficjalista i ona — jasnie pani dziedziczka, jego niewolnica.

Grywa z nim duety, karcii jego wady, odmawia nieraz jego wskazaniom gospodarskim; bywa grzeczną lub niemłą; przyjazną lub wyniosłą. Lecz nigdy aż do jej grobu pan Gleba nie będzie wiedział, że w jej marzeniach zajął na piedestale królewicza i bożka — całe jej wewnętrzne życie; że jest rozkoszą jej marzeń i że ona umiera ze smutku, iż natura nie uczyniła jej godną stać się matką jego dzieci, sługą żyjącą w atmosferze jego oddechu, dźwięku jego głosu i uśmiechów.

Czarna toń bezkسیężycowej nocy wlewała się ze swoim poważnym smutkiem przez szyby okien.

Dokoła anjidei szmeru, jak w

pałacu uśpionej na całe stulecie królewnej.

Zamilkły ostatnie poszczekiwanie psów i świst nocnego stróża. I cisza całych wiorst dokoła, ta specyalna cisza wiejska królewskim ki-rem owijała ostatnie wysiłki mózgu zasypiającej. Jeszcze jedno ciężkie westchnienie, i, zupełnie zrównana już z krezusami i nędzarzami, wybrańcami losów i z ofiarami — zasypiała, tracąc samopoczucie — biedna ciotka Benisia.

Na śpiącej, zmęczonej twarzy zagasły wszystkie jej bóle, mizerne, w gruncie, ale tak pałace, jak pokrzywka lub ząb spróchniały. Oddychała teraz swobodnie, jak dziecko z zupełną zatrutą samopoczucia — niby kwiat, gwiazda lub kropla oceanu.

To ten największy dobroczyńca nieszczęśliwych — sen — zwabił ją w swoje objęcia i tuląc, jak dobra matka, ukoił. Nie czuła już, że żyje. Zasnęła — szczęśliwa!

Nazajutrz rankiem, zrywając się z łóżka, ze zduszonemi już myślami swego tajnego życia — poczęła działać drugą, oficjalną połową swojej jaźni.

Przypomniatł się jej przyjazd Romka. I wnet coś w piersiach ją

zadławiło: Uprzytomniła sobie miłosne awantury jego matki, a potem przed laty nocne romanse jego brata z Ireną. A potem amory pana Gleby.

— Brr! — wstrząsnęła się. — Teraz znowuż nowe pokolenie w postaci młodego, przystojnego chłopca. Hannibal ante portas!

Zdawało jej się, że dostrzegła miłosne spojrzenia mademoiselle, rzucane w jego stronę. Owładnęła ją obawa o czystość Jędrzejewic.

— Trzeba będzie śledzić go i do wybryków nie dopuszczać.

I badała starego Tomasza, nie wiedząc jeszcze, z jakiej beczki zacząć. Udawała zainteresowanie się gościem:

Czy w jego pokoju wszystko znajduje się w należytych porządku? Czy ranną kawę chce pić u siebie, czy w jadalni? Czy wstał już z łóżka?

Te wszystkie odpowiedzi nie zadowolily jej jednak. A o co właściwie badaćby pragnęła — sama nie wiedziała. Czuła jedynie, że ogarnął ją niepokój.

Zaczęła żałować poniewczasie, czemu, szukając korepetytora, nie kwestyonowała jego młodości?

Dalszy ciąg nastąpi.

BOLESŁAW ZYGM. LUBICZ.

Nowela.

OKOPY KOCMYŻOWSKIE.

3

Pluta sam jeden został z Wnorowskim. Podniósł go, otoczył ramieniem i prowadził ślepego, ociekającego krwią, przez pole, po przez zamieć kul nieprzyjacielskich, omijając ciała zabitych i rannych, wśród gwaru i nawoływań szalejącej burzy wojennej. Dziwnie samotnymi byli ci ludzie w środku szalejącej bitwy. Z różnych stron i na różne tony ryczały kule karabinowe. Co więcej, raz po raz nad polem pękały szrapnele. Wnorowski ledwie włożył nogami. Chwilami Pluta musiał go nieść. Kierowali się w stronę lasu, lecz Pluta w czas się spostrzegł, że zajęty jest przez wroga. Musieli przeto raz jeszcze przeciąć pole na ukos, kierując się w stronę wawozu, którym mogli się dostać do wsi; tam podług przewidywań Pluty powinni byli znaleźć punkt opatrunkowy. Wnorowski słabł coraz bardziej. Musieli przeto kilkakrotnie odpoczywać, chroniąc się w potworne doły, całunki namiętne granatów ros. Doły te, w których znaleźć można było czerepy „kuferków“, stanowiły bezpieczne schronienie przed strzałami karabinowymi, ale nie osłaniały przed działaniem artylerji. Wreszcie po wielu wysiłkach dotarli do brzegu wawozu. Wnorowski zemdlał na dobre. Zamiast twarzy miał jedną wielką ranę, powstałą prawdopodobnie od uderzenia zegaru szrapnelowego; świadczyłoby to o niezmierniej celności strzałów artylerji nieprzyjacielskiej, która nie bała się szkodzić wła-

snym okopom. Pluta przyniósł z pobliskiego ruczaju wody w manierce, wyjął z tornistra bandaż i poczęł opatrzyć ranę. Upływ krwi był bardzo znaczny. Ranny miał jedno oko wybite i przetrącony nos. Prócz tego uszkodzona była kość czołowa. Był w malignie. Podczas opatrunku z ust wybierały mu dźwięki, oderwane wyrazy, strzępy myśli, objaw ułomnej pracy osłabłego mózgu. Parokrotnie przytomniatł i wówczas z ust jego wyrwała się cicha skarga:

— Boli...

— Nic, nic, to przejdzie! — szeptał Pluta.

Zamilkł na czas dłuższy, a gdy Pluta skończył opatrunek, zapytał:

— Kto?

Pluta nie odezwał się. Wówczas ranny usiłował podnieść obandażowaną głowę i nazwał go po imieniu.

— Tak, to ja! — potwierdził.

— Więc to wyście mnie uratowali... Wciąż wy... Dziękuję... — rzekł z ledwie dosłyszalnym przymusem.

— Uratowałem oficera legionów.

— A wiecie, co ten oficer wam uczynił?

— Co?

Chory znów zaczął gorączkować. Trzęsła go również febra. Gdy Pluta go okrył swoim szynem, uspokoił się nieco. Nie przestawał jednak bredzić.

— Pluta... daruj... nie wierz jej, jeśli ci

sama powie... to ja... ja... i tylko ja... Pluta... Powiedziałem ci, zastrzel! U mety... dobrze... Powiedzieć mu, że się zgadzam... wszelką satysfakcję... Jej... chcecie wiedzieć?... powiedziałem, że jeśli mi zaufa, to ją odprowadzę do jej własnego domu, i prosiłem, by mi zbytnio nie ufała, i tem ją ujałem... A potem... Maryś!... nie trzeba płakać... pani Maryś... Krzywdą... Komu?... Wszak i mnie, gdyż ja cię tak kocham — a ty mnie nie chciałaś pocałować i usta twoje były zimne, gdy je całowałem... a jednak dawałaś mi je do pocałowania... Maryś... no widzisz... już dobrze... nie się nie stało... A... on... Pluta... cha — cha... — — — Bo ty może nie wiesz, Maryś, że ja cię kocham i to prawdziwie kocham... No, pocałuj... choć raz... sama... z dobra woli... Nie chcesz? Ja cię zmuszę...

Pluta schylał się nisko, coraz niżej nad rannym. Mózg zalewała mu czerwona fala obłędu. Zwolna zaczynał rozumieć treść tych majaczeń. Robił jednocześnie w pamięci pracowite zestawienie pewnych faktów, zabiegał skrzętnie koło budowy własnego nieszczęścia. Stał się już przed nim wyraźnie jego kontury. Wówczas to po raz pierwszy straszny jęk wydobył się z jego piersi:

— A — a — a — a!

Wnorowski zamilkł.

— Kto? — spytał słabo.

Pluta jęczał. On, mocny człowiek, zahartowany zdawało się na wszystko, płakał teraz i, jak dziecko, wyrzucał ze siebie nieartykułowane dźwięki...

Wnorowski pojał.

— Ah... więc ty wiesz już... Teraz... Zabij mnie!

— Mów! — rzekł Pluta.

— Co mówić! Zabij! Ona nie winna... Twoja żona...

— Więc to prawda? — zachnął się Pluta.

— Więc ty nie wiesz? Ona ci nie powiedziała... Maryś... — majaczył ranny. — Ona święta. Ona swego męża kocha... i dlatego ja go znienawidziłem. Wy chcecie satysfakcji? Dobrze! Tylko, by ona nie wiedziała... w sekrecie przed nią... ja strzelać nie będę... krzywdy nie uczynię... Cha... cha! To ona mnie skrzywdziła... Od lat dziecinnych kocham... Rozumiecie... Była bierna... ale... sama nie pocałowała ani razu... I usta jej były zimne... I jego... Pluty, a nie moje imię... a ja ją... I za to nienawidzę go... nienawidzę go...

Pluta się poruszył.

Wnorowski ręką namacał rewolwer, wyjął go i wyciągnął w stronę Pluty.

— Pluta... jeśli już wiesz... jeśli ona wam powiedziała... jeśli ona skarżyła się na mnie? Zastrzelcie!... Zabijcie, jak psa...

Pluta wzięł rewolwer i odrzucił go z gestem największego wstrętu.

— Oficer! — rzucił przez zęby.

— Tak! Wiem o tem — mówił słabym głosem Wnorowski. Oficer legionów... Więcej! podkomendny naczelnika... Ja rozumiem! Całe społeczeństwo, świat cały patrzy... Odpowiedzialność... Cóż... jesteśmy ułomni... Tu jeszcze... w okopach... bitwy... ale tam „na tyłach”... urlop... O! to straszna rzecz urlop, gdy się niema ani żony, ani kochanki, ani narzeczonej, ani rodziny,

nie... tylko zdawkowa życzliwość, gdy się jest skolatanym, z zziębniętym sercem... trzynastcie miesięcy w linii... A tam... ani jednego słowa tak istotnie serdecznego, nieufność jakaś... Ale ona... niewinna! Pomnij...

Zaległo milczenie. Pluta pasował się z myślami.

— No i cóż... Zabij... Wszak i tak... Zerwał się Pluta.

— Czy wy sądzicie, podporuczniku, że ja będę dobił śmiertelnie rannych i tem cierpienia ich skrótcał? Nie! Umierajcie sami!

Wyjął z futerału swój własny rewolwer i, by nie mieć pokusy, odrzucił go znów daleko od siebie. Następnie odpałał szablę i rzucił ją z całej siły do potoku. Zadźwięczała fałszywym dźwiękiem nieopanowanego bólu...

Pluta, bez czapki, jak stał, poszedł wprost przed siebie, w rozgwar bitwy, oślepiły na niebezpieczeństwo, z jednym, nie miałem pragnieniem w duszy — śmierci.

Gdy błąkał się, jak lunatyk, na polu bitwy, natrafił przygodnie na idącą do ataku kompanię piechoty, przyłączył się do niej, po zabiciu kompanijnego i plutonowego objął nad oddziałem komendę i poprowadził go do ataku na bagnety. Prowadził z taką furją, że atak się nadzwyczajnie udał. Strzelcy zdobyli pozycję i utrzymali się na niej, pomimo dwukrotnych ataków przeważających sił nieprzyjacielskich. Wreszcie, za trzecim razem — musieli ustąpić. Pluta ustąpił ostatecznie. Ostrzeliwując się, oddział z bardzo małymi stratami wycofał się z pola ognia i pod sprawną komendą Pluty zbliżył się do wsi N... Wówczas to Pluta zdumionym żołnierzom kazał: „Rozejść się!”

Spotykanych strzelców, których sporo włożyło się we wsi, spytał Pluta, gdzie jest komenda baonu. Wskazali mu ją. Gdy się zbliżył do chaty, w której się mieściła — wyszedł z niej komendant batalionu:

— Wy z meldunkiem?

— Nie — —

Kapitał poznał Plutę.

— A... Pluta! Gdzie Wnorowski?

— Został...

— Jakto został? Zabity?

— Nie! był ranny, ale ja go dobiłem — —

— Co za żart? Jak wy śmiecie!

— Gdzie żołnierze?

— Zostawiłem ich...

Kapitał uważniej spoirzał na sierżanta. Teraz dopiero zwrócił uwagę na pewne szczegóły, które wydały mu się ważne.

— Jak wy wyglądacie? Gdzie broń?

— Zostawiłem...

— Dezerter! Żołnierze, brać go! Pod bagnety!

Koło Pluty ustawili się zbrojni żołnierze.

— Ja nad wami każę sąd złożyć! Sierżant! Podczas bitwy rzuca broń! Niesłychane! I to ten, którego za wzór stawiałem... Będziecie rozstrzelani.

— Rozstrzelajcie, ob. komendancie! Proszę o to...

— Milczcie! Na sądzie będziecie mówić!

W tym czasie do batalionowego pod-

szedł sierżant Michalski, świadek zajścia i zaraportował:

— Ob. komendancie... Ośmielam się i za obowiązek swój uważam zameldować posłusznie, że ob. sierżant Pluta pół godziny temu objął po śmierci ppor. Kazimierza i zranieniu porucznika Reja komendę nad dwoma plutonami I komp., zdobył atakiem na bagnety pozycję nieprzyjacielskie koło karczmy, odparł dwa ataki rosyjskie, następnie cofnął się w najzupełniejszym porządku, przyprowadzając do wsi oddział, którym dowodził...

— Tak, bez broni?

— Tak jest, obywatelu kapitanie! Cały czas był bez broni!

Jednocześnie nadbiegli żołnierze z meldunkami. Przybiegli i ordynans z komendy głównej, z kartką papieru, wyrwaną z notesu szefa sztabu. Sosnkowski skreślił tylko parę słów. Sytuacja stawała się znów nadzwyczaj groźna. Należało zmobilizować wszystkich żołnierzy. Chorych i złej rannych, których miano odesłać do szpitala, na gwałt wcielono do linii. Kapitał chwilę namyślał się, co zrobić z Plutą. Rozstrzelać go bez sądu nie chciał i nie mógł, będąc pewny, że w głębi sprawy kryje się jakieś nieporozumienie. Z drugiej strony nie mógł dopuścić, by w tak krytycznym momencie choć jeden żołnierz się marnował, strzegąc aresztanta.

— Słuchajcie, Pluta! Teraz was puszcza, jeśli dacie mi żołnierskie słowo, że stawicie się u mnie po skończonej bitwie. Słowo?

— Słowo, obywatelu kapitanie.

— I dodał ciszej:

— ...jeśli będę żył.

I znów, jak wprzód, korzystając, że nie zwracano na niego uwagi, poszedł wprost, przed siebie, w sroząc się za mieć kul karabinowych i armatnich — aż zatonął — zginął w odmęcie strasznej bitwy. Śmierć znalazł...

* * *

Jeden z małych Jeńców, latorośl jennego z najstarszych rodów Kocmyżówki, przekradł się z wawozu do wsi i po powrocie zameldował, że żołdatów już niema, ale że... i wsi niema. Dla sprawdzenia jednej i drugiej wiadomości, zwolna, po jednym, po dwóch, zaczęli się ludzie chytkiem przekradać znanymi ścieżkami do wsi, znaleźli jednak zamiast chat pogorzelsko...

Po trzydniowych nieustannych hałasach srogiej bitwy dziwna cisza zaległa okolicę. Rosyanie, po zabezpieczeniu taborów, znów rozpoczęli odwrót. Legionści i wojska austro-węgierskie szły śladem. Pozostawiono w Kocmyżówce tylko małe oddziały żołnierzy dla grzebania zmarłych.

Do wsi zwolna nadciągała ludność. Nadciągała z dwu stron. Jedni z wawozu, postępując za wojskiem; drudzy — ci szczęśliwsi z zabranych przez rosyjan, którym udało się wyzyskać zamęt bitwy, schronić się i uciec. Przyjeżdżały do spalonej wsi furi przymusowych wygnańców. Znajomi witali znajomych, krewni krewnych. Zdarzało się, że ojciec witał syna, mąż żonę. Matki poszukiwały swoje dzieci. Gromadzili się na pogorzelskich, zamieniali słów kilka i znów rozchodzili się.

— No, cóż tam? — pytali „austriacy“ „ruskich“? — Uciekliście, czy puścili?

— Gdzieby tam puścili? Uciekliśmy! — odpowiadali — Tylko nie wszyscy! No, a u was co? Spalili was Niemcy?

— Spalili! Ale nie Niemcy... Legiony!! — odpowiadali pierwsi.

Kobiety nie ustawały szlochać. Przypędzone z wozu bydło ryczało w niebogłosy. Kwiczały świny. Niektórzy z zapobiegliwszych zabrali się do pracy i wyciągali z ruin niespalone berwiona, wyrwali żerdzie z płota, gromadzili gałęzie i budowali tymczasowe schronienia. Żyd Abraham zbudował na oczekaniu szałas i rozpoczął drobną sprzedaż cukierków i machorki. Życie musiało.

Mikołaj Jeniec wyszedł obejrzeć pole. Poryte było dwiema liniami okopów i wielokrotną eksplozją granatów. Stały okopy, milczące, tajemnicze, trwoga i krwią nasiąkłe.

Ku największemu zdumieniu i zgorzśnieniu swemu ujrzał paru legionistów, usypujących i udeptujących mały kopczyk pomiędzy jedną a drugą linią okopów. Nieufny, obserwował ich zdaleka. Wkrótce dwaj inni przynieśli świeżo uciósany sosnowy krzyż i zaczęli go ustawiać. Wówczas się przybliżyli.

— Pole mi psujecie... — zaczął nieśmiało wyluszczać swe racje, o których zapomniano.

— Nie to, gospodarzu! Ta mogiła wam szczęście przyniesie! To nasz święty — odrzekł jeden z żołnierzy.

Na krzyżu widniał napis: „Aleksander Pluta, sierżant wojsk polskich. Zginął...“

Z drugiej strony spalonej wsi inni legionści sypali inną mogiłę. Gdy przynieśli brzozy krzyż i taką tablicę, jeden z legionistów zaczął pisać:

— Ignacy Wnorowski, of. I Brygady W. P. Zginął dnia...

Gdy skończyli i już mieli odejść, by dalej pełnić swą smutną powinność, podszedł do nich najmłodszy z Jeńców, latoroś jednego z najstarszych rodów spalonej Kocmyżówki, i zaczął prosić:

— Weźta mnie panowie ze sobą. Kęś iść pod pana generała, pod pana Brygadiera.

— A śmierci się nie boisz?

— Nie...

— A wiesz, za co my się bijemy?

— Wiem... Za Polskę!

Miał lat 17, był ładnie zbudowany, więc wzięli go. Po chwili jednak przeprosił ich i powiedział, że pójdzie „coś załatwić“. Myśleli, że nie wróci. Wrócił jednak ze znalezionym w okopie niezsputym karabinem rosyjskim. W oddali grzmiały strzały. To przednie straż strzeleckie starły się z tylnymi ubezpieczeniami rosyjskimi. Poszli legionści do walki na bagnety, lecz uderzyli w próżnię. Szli więc dalej, oracze i siewcy ugorów Polski, niezmordowani i waleczni, jako metę wyznaczając sobie kres historycznej Polski.

KONIEC.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

4

SCENA 12.

KRYSTYNA — LEŃSKI.

KRYSTYNA (*tonem lekkiej wymówki*). Ładnie się pan spisał! Ewa będzie miała napewno przykrości.

LEŃSKI (*filozoficzny*). Zazdrość męzowska jest nieomylna. Nigdy nie zboczy z fałszywej drogi. Czy pan! wie, do kogo on pójdzie zwierzyć się ze swoim zmartwieniem? Do Cynamona. Gotówem trzymać zakład (*Krystyna śmieje się*). Ale pani Ewa naprawdę ma pierwszorzędne nogi (*całe towarzystwo wychodzi z salonu*).

SCENA 13

KRYSTYNA — LEŃSKI — ADAM — EWA — HRABINA — LOLA — DZIDZIA — PREZES — BORSKI — KOSKIEWICZ.

EWA. Proszę, niech państwo raczą zająć miejsca. Prezes może tutaj... (*wskazuje miejsca*). Pani tu.

(*Całe towarzystwo, rozmawiając, zwolna lokuje się*).

ADAM (*wziął pod ramię Augusta, prowadzi go na przód sceny i zwierza się półgłosem*). Wszystko się we mnie zatrzęsało... Ja się sam sobie dziwię, że potrafiłem zachować spokój. Co to jest, proszę pana, czy przyzwolitej mężatce zagląda się w nogi?

AUGUST. Jego dezinwoltura jest nieznośna. To nie są maniery człowieka z towarzystwa.

ADAM. On myśli, że jemu wszystko wolno, bo jest w klubie. Co to jest? Czy ja mam żonę dla panów z klubu?

AUGUST. Pan się zachował bardzo taktownie.

ADAM (*czuły*). Ja pana bardzo lubię, bo pan jest, jak powinien być. Ja jestem cichutki, spokojniutki, lecz jak się we mnie zatrzęsie, to jestem gotów do największej awantury (*milknie, bo prezes wstał i chrząknął znacząco pod jego adresem*).

PREZES (*uroczyście*). Otwieram posiedzenie. Proszę o chwilę ciszy... (*rozmowy gasną*). Nie mowa! (*gest oratorski*). Tylko parę prostych słów wyjaśnienia. W jakim że to celu zebraliśmy się dzisiaj? Ukochana nasza instytucja, Schronisko dla moralnie zachwianych dziewcząt, potrzebuje środków, aby zbłąkanym o-wieczkom zapewnić dach i opiekę. I

oto pani Hamelbein wpadła na szczęśliwą myśl urządzenia na ten cel widowiska. Zdaje mi się, że będę wyrazicielem woli wszystkich obecnych, jeśli podziękuję szlachetnej opiekunce za piękną inicjatywę. I zarazem proszę, by zechciała szerzej swój pomysł rozwinąć.

(*Usiadł, dłuższe milczenie*).

HRABINA (*do Ewy*). Prosimy.

(*Wszyscy zwracają się ku pani Ewie, w oczekiwaniu*).

EWA (*zażenowana*). Ach, to ja?... Kiedy ja, proszę państwa, nie wiem... Myślałam, że może koncert...

BORSKI. Tak, najlepiej koncert. Doskonała myśl.

LOLA. Ja pozwolę sobie zwrócić uwagę, że w najbliższym czasie zapowiadanych jest dziewiętnaście koncertów dobroczynnych.

BORSKI. Ale żeby, tak... z żywymi obrazami!

LEŃSKI (*siedzi przy pani Krystynie*). Cynamon!

LOLA (*surowo*). Przedstawię z żywymi obrazami zapowiadanych jest osiem. Ja sama biorę udział w czterech.

DZIDZIA. Trzebaby coś interesującego... nowego...

HRABINA. Może koncert religijny? Teraz bardzo są w modzie.

PREZES. Wiem o trzech, które właśnie się organizują.

EWA (*szczerze zmartwiona*). To okropne! Ludzie nie mają nic lepszego do roboty, jak urządzenie koncertów!

ROMAN (*wstaje i wzruszonym głosem*). Proszę o głos! (*usiadł*).

PREZES (*życzliwy*). Głos ma pan Koskiewicz (*chwila milczenia*).

ROMAN (*staje, zawahał się, jakby sobie przypominał przygotowane zawczasu przemówienie*). Panie i panowie! Tak... dobrze powiedziałem. Panie i panowie... Mamy obowiązki wobec moralnie zachwianych dziewcząt, ale...

LEŃSKI (*przerywa*). Protestuję. Ja nie poczuwam się do żadnych obowiązków. Moje sumienie jest czyste (*śmiechy*).

PREZES (*pobłażliwie*). Proszę nie przeszkadzać.

ROMAN (*stropiony*). Mamy obowiązki również wobec kultury narodowej... tak... Trzeba wyjść z szablonu powszechnie praktykowanych koncertów i przedstawić, które są... tak, dobrze powiedziałem... które są zawsze szablonowe, trzeba szukać

nowych dróg, któreby wyszły z szablону, żeby dać świadectwo kultury narodowej...

LEŃSKI *(do Krystyny)*. Nie wybrnie.

HRABINA *(do siedzącej obok Dzidzi)*. On jest wyjątkowo inteligentny.

PREZES *(widząc, że Roman utknął, słodko)*. Czy szanowny mowca stawia jakiś wniosek?

ROMAN. Tak jest, właśnie chciałem zaproponować, żeby zaprosić na przykład pana Paderewskiego.

LEŃSKI. Nie przyjedzie.

ROMAN *(obrażony)*. To bardzo źle. W takim razie cofam mój wniosek *(chwila milczenia)*.

PREZES *(powiódł wzrokiem po zgromadzonych)*. Kto z państwa pragnie zabrać głos?

LOLA. Ja.

PREZES *(ugrzeszczony)*. Proszę.

LOLA. Ja państwa bardzo przepraszam, ale już muszę pójść, bo mam odczyt, a potem obiad proszony *(wstaje, żegna się z Ewą, która również powstała)*. I jeszcze chciałam powiedzieć, że mogę zrobić wszystko, byleby nie potrzebowała sprzedawać biletów *(kłania się innym i wychodzi, przeprowadzona przez Adama do drzwi)*.

HRABINA *(żywo)*. O, i ja także... Już nie mam komu...

DZIDZIA. Ja mogę wziąć dwa bilety.

PREZES. Dobrze, moi państwo, ale myśmy jeszcze nic nie postanowili. Może ktoś poda nowy projekt?

AUGUST. Zaraz... to może ja...

PREZES *(zachęcający)*. Prosimy, prosimy...

AUGUST *(zamyślił się)*. Jabym proponował... *(urywa, wszyscy czekają, lecz on nagle rozmyślił się)*. E... nie... Przepraszam... *(siada)*.

EWA. To fatalnie się składa... Fatalnie...

KRYSTYNA *(do Leńskiego)*. Niechże pan pomoże... Ewa jest w rozpacz.

LEŃSKI. Dla pani gotów jestem do wszelkich ofiar i poświęceń *(zamyśla się)*.

PREZES *(słodki)*. Czy nie należałoby wrócić do pierwszego projektu... skoro niema lepszego?... Możnaby przecież urozmaicić koncert szczególnie interesującymi popisami... Naprzykład piękne produkcje choreograficzne... *(usiłuje wzrokiem przypomnieć Adamowi)*. To byłoby coś niepowszedniego... Wyobrażam sobie jakąś młodą artystkę, która kreuje po raz pierwszy szlachetnie pojęty taniec... *(gdy Adam nie rozumie, zwraca się do niego wprost)*. Prawda, panie Hamelbein?

ADAM *(przypomniat sobie)*. Tak... *(uśmiechnął się)*. Ja nawet słyszałem o takiej młodej artystce, jeszcze nieznanej a już bardzo utalent... utalent...

PREZES *(lagodnie)*. Utalento...

ADAM. Utalentowanej... *(patrzy w oczy prezesa cokolwiek pytająco)*. Panna Materac... *(śmiechy)*. Ja nie jestem winien, że ona się tak nazywa *(śmieje się sam wesolo)*.

PREZES *(urazony)*. Jeśli mię pamięć nie myli, młoda artystka, o której pan wspomina, nosi nazwisko starej rodziny mieszczańskiej Materasów...

ROMAN. Materac! Bardzo mi się podoba *(wybuchu trochę niestosownym śmiechem, za co zostaje obrzucony gromiącym wzrokiem prezesa)*.

EWA *(zdziwiona, do męża)*. Skądże ty znasz pannę Materac?

ADAM *(enigmatyczny uśmiech)*. Znam... i nie znam...

LEŃSKI *(głośno i radośnie)*. Mam!

(Wszyscy zwracają się ku niemu).

LEŃSKI. Powiedziałem sobie: panie Leński, albo masz geniusz, albo go nie masz. A jeśli masz, oto okazja, aby okazał swój polot. I geniusz, po chwili namysłu, zawołał: jestem!

EWA *(podniecona)*. Ale co? Niech pan mówi!

LEŃSKI. Urządzimy elegancki kabaret, same panie i panowie... Sala niewielka, bilety bardzo drogie, za zaproszeniami... Klub obejmie patronat... Cała Warszawa zabijać się będzie...

PREZES *(słodko-kwaśny, bo niepokój go myśli, że występ p. Materasówny nie dojdzie do skutku)*. Ale jeszcze nie wiemy, jaki program pan proponuje.

LEŃSKI *(żywo)*. Jeszcze państwo nie wiedzą? Coś extra... Kabaret w kostymach. Żadnego zawodowego artysty... Wykonawcami będą wyłącznie panie i panowie z towarzystwa.

PREZES *(słodko-kwaśny)*. Mówiliśmy już o pannie Materasównie...

LEŃSKI. Dla pańskiego Materaca zrobimy wyjątek *(prezes skrzywił się, ograniczył się wszakże do protestu tylko lekkim gestem)*. Parę numerów w stylu Drugiego Cesarstwa. Panie w krynolinach.

EWA *(klaszcze w dłonie)*. W krynolinach! Świetnie!

LEŃSKI. Panowie w kolorowych frakach... Tańce, piosenki, genre Offenbach, Paul de Kock... Wszystko wesole...

DZIDZIA *(smętnie i powoli)*.

Wesołe! Doskonały pomysł. To i ja wezmę udział.

LEŃSKI. Kadryl w kostymach. Która z pań śpiewa? *(milczenie)*.

EWA. Zdaje mi się, że Krysia...

LEŃSKI *(z zapalem)*. Pani Krystyna? Wybornie. Repertuar Hortensy Schneider.

AUGUST. Mnie się jednak zdaje, że musi być i tango...

LEŃSKI. Nigdy! Dosyć mamy pańskiego tanga *(do Hamelbeina)*. Co pan potrafi?

ADAM. Ja? Ja nic nie potrafię. Ja umiem tylko cokolwiek grać na trąbce... Powitanie lasu.

LEŃSKI. Pysznie! W kostymie tyrolskim, kolana obnażone... Będzie pan miał sukces! *(do pań)*. Teraz niech panie powiedzą: kto uratował moralnie zachwiane dziecięta?

WSZYSTKIE PANIE. Pan! Pan... *(otaczają go wieńcem, cofając się jednocześnie w głąb)*.

EWA. Jest pan złoty! Jedyny!

DZIDZIA. Wszystkie kochamy się w panu.

ADAM *(wziął pod ramię Borskiego i prowadzi go na przód sceny, ku prawej stronie)*. Pan widziałeś, jak one skaczą koło niego? Co to jest? Czy on wymyślił coś nowego? Nic nie wymyślił. Już wszystkie rzucają mu się na szyję *(z gabinetu wychodzą służący, niosąc na tacy list)*. Czego Konstanty chce?

SLUŻACY. List do jaśnie pani. Postaniec mówił, że pilny, bo miał go oddać jeszcze przed południem.

ADAM *(surowy)*. Czy podaje się listy przy gościach? Co to jest? *(bierze list i gestem odprawia służącego)*. Już!

(Służący odchodzi. Borski odrzuca się stropił, a rzuciwszy okiem na kopertę, nie może uciąć wrażenia).

ADAM *(postrzegł odruch Borskiego)*. Co panu jest?

AUGUST. Nic... Trzeba oddać pani Ewie.

(Chce odebrać list).

ADAM. Zaraz... Adres wypisany na maszynie...

AUGUST *(siłą się na uśmiech)*. Pewno jakiś rachunek.

ADAM. W takiej ładnej kopercie... *(podnosi do nosa)*. Pachnie. Powąchaj pan... *(podsuwa mu list pod nos)*. Pachnie?

AUGUST. Nic nie czuję.

ADAM. Pan masz katar. Ten list mi się nie podoba.

AUGUST *(chce wezwać Ewę na sukurs)*. Pani Ewo!... Tutaj... *(Ewa, zajęta rozmową, nie słyszy)*.

ADAM *(zatrzymuje go)*. Cicho! Sza... *(kładzie mu rękę na ramieniu)*. Mnie się ten list nie podoba. Kto potrzebuje pisać takie listy?

AUGUST. Przecież pan nie otworzy listu, adresowanego do pani Ewy!

ADAM. Dlaczego nie otworzę? Moja żona nie może mieć przedemną tajemnic. Czy ja mam przed nią tajemnice?

AUGUST (z godnością). Panie Hamelbein! Są pewne obyczaje.

ADAM. Jeśli chodzi o mój spokój, ja mogę mieć złe obyczaje (*potrząsa listem, niezdecydowany*). Zręszą ja zobaczyć... Może oddam... może nie oddam.

PREZES (*zbliżył się do nich*). Wszystko ułożone... (*Adam schował list do pugilaresu*). Próba generalna u pana Leńskiego.

KRYSTYNA (*idzie na przód sceny z Leńskim*). I pan mówił, że pan nie jest młody!

LEŃSKI. Blask oczu panj uczylił cud... Słońce lipcowego ranka... Kontenta pani?

(*Krystyna podaje mu rękę, którą on całuje*).

(*Zasłona spada*).

Koniec aktu I-go.

Wnet stawiają się wszyscy w kompiecie.

W oczekiwaniu na mięso, kolejka jedna i druga. *Faute de pain* zagryzana tortem...

Trzecia kolejka, czwarta, piąta, a dań z restauracyi nie widać! Wicek już klnie, taki głodny! Złorzecza również przyjaciele... Panie zniecierpliwione wysyłają jedną służącą za drugą, chłopaków od windy, od stróżów... Z zamówienia, dokonanego przez Wacka, nic nie będzie, trzeba szukać, gdzie się da. W barze na przeciwko, w szyneczku, w kawiarni... Po kawałku mięsa, po byle jakim kawałku mięsa i po porcyce kartofli!... Królestwo za szynclą, królestwo za porcy kartofli!

A dwunasta dochodzi.

— Iędrak się rodzi! Dawajcie tribuszon! — krzyczy Wicek.

Zrywają się protesty.

— Czekaj jeszcze, czekaj chwilę, może przyniosą...

— Na głodnego nie będziemy przecież witali!...

W nowem oczekiwaniu, wychylają jeszcze po jednej kolejce, tym razem już — wina... I zagryzają po raz szósty — tortem...

— Tfu, jak słodko! — mruczy krzywiąc się Wicek...

Szynclów wciąż nie widać!...

Dwunasta za trzy minuty, za dwie, za minutę — — —

Baczność!

— Kto powita nowonarodzonego?

Wacek, chwiejąc się zlekka na nogach, unosi się z kanapy. Nastraja się na ton poważny, wzrok kieruje ku drzwiom wejściowym...

— Niech żyje... kawałek mięsa!... — dobywa się okrzyk serdeczny z zamroczonej piersi starszego Klepackiego...

— I kartofelki!... — odkrzykuje błagalnie Wicek.

— I kartofelki!... — podchwytuje modlitewnie cały chór głosów...

Stary, gdański zegar uroczyście wydzwania dwunastą.

B. Górczyński.

Jak bracia Klepaccy witali rok nowy 1917.

Wicek i Wacek na parę dni przed Sylwestrem dali sobie solenne słowo, że pał dyabli obyczaj, nie będą tego roku witali noworodka!

— Jucha stary rok nie był taki bardzo podły, pokazał parę ładnych rzeczy, jeszcze ładniejszych całą furę naobiecował, kto zareczy, że ten smarkacz 917-ty ojcowizny nie przebarłoczy? — tłómaczył Wicek. — Znasz Wacek tego bękartą, widziałeś, jak wygląda?

— Nie znam.

— No to siedź w domu i klep biedę, kiedyś Klepacki!

Wacek pomyślał chwilę.

— Masz rację, Wicku. Bo i jak się pomyśli (a Wacek był żonaty, więc myślał często), to z czego się tu tak bardzo cieszyć? Przyjdzie ten rok nowy, to i na psa numerek się skończy i wykupuj nowy, płać nowy podatek mieszkaniowy, nowe komorne, ratę ureguluj w jednej kasie i drugiej, składki w stowarzyszeniach... a nie bez tego, żeby się i moda babska nie zmieniła, i nie wypadło (czy to można wiedzieć, co kobietom przyjdzie do głowy?) sprawać żonie butów ulańskich z ostrogami?

— Dobrze gadasz, Wacku!

— Wicku!!

— Wacku!!!

Tradycyjnym obyczajem rodzinnym rzucili się sobie bracia Klepaccy na szyję i, przejęci swoją ideą, tego jeszcze wieczora nakłonili do abstynencyi sylwestrowej dwóch przyjaciół kawalerów i jednego żonatego.

Postanowienia trwały w swej żelaznej mocy do godziny dwunastej w południe trzydziestego pierwszego grudnia roku 1916. Około tej godziny wszczął się ruch niezwykły pomiędzy mieszkańcami braci Klepackich i ich najbliższych przyjaciół.

Pierwszy — chronologicznie — pędził do Wicka brat Wacek wzywać ratunku przed pomstą gniewu żonatego. Ale go nie zastał. Dowiedział się tylko, że u Wicka byli co dopiero dwaj jego przyjaciele, poczem wszyscy trzej z minami bardzo zaferowanymi wybiegli spiesźnie na miasto...

— Ani chybi aranżuje coś! A podły! — z goryczą pomyślał Wacek, człapiąc powoli ku rodzinnemu domowi.

Tuż pod bramą wpada na Wacka, jak furja — żonaty przyjaciel. Chwyta

go za guzik od palta, i potrząsając z całą mocą, obwieszcza tonem tragicznym:

— O biletach do teatru nawet nie myśl! Ale szukajmy stolika! Królestwo za stolik!...

— Jaki stolik?

— W restauracyi, kawiarni, barze, cukierni, szyneczku bodaj! Był był stolik! Nie mogę się babie pokazać bez stolika! Radź-że Klepacki!

I przyjaciel klepnął z całej siły zmaltretowanego już bez tego Wacka.

— Dyabli nadali, że się ten rok musiał skończyć. Tak dobrze było z 1916-ym... — mruknął bezradnie Wacek.

Ale od rogu biegł ku niemu wesoło rozpromieniony Wicek. Grzmotnął brata z drugiej strony jeszcze potężniej i huknął.

— Wicek, hyciu jeden, a ja do was właśnie! Nie może być, żeby Klepaccy nie pożegnali porządnie starego roku i nie powitali, jak się należy, nowego. Pocziwy fatroski w grobieby się z tabakierą przewrócił, gdyby się dowiedział, że jego zacne chłopaki o suchej gębie odprawiali Sylwestra!... Tego jeszcze u nas nie było!...

— Nie było! — potwierdził Wacek.

— Wacku!...

— Wicku!...

Rzucili się sobie na szyję.

U Wacków na górze mała sesyjka z udobruchaną panią Wackową. Zapada uchwała, że przyjaciel wraz z Wackiem zajmą się obstarowywaniem gotowej kolacyi (gdzie się da, w pierwszej z brzoza jadłodajni!), pani Wackowa przygotuje słodocze, Wicek ze swoimi przyjaciółmi trunki, zaś żona przyjaciela Wackowego, jako posiadaczka najpiękniejszego apartamentu, oczekiwać będzie przy pięknie zastawionym stole! Tak podzieliwszy pracę zbiorową, wyznaczono rendez-vous na godzinę przed zakończeniem starego roku.

Pierwsi przybyli bracia Klepaccy. Powitały ich zrozpaczone twarze obu pań: od godziny przeszło dwie służące, windziarz, chłopiec od stróża i jeden z przyjaciół biegają po mieście, szukając pieczywa. Ani go dostać!

— Furda! Trunczki są!... — opiniuje Wicek, spoglądając z zadowoleniem na baterijkę śmiejących się do niego butelek...

Hymn życia.

Niech padnie w gruzy świat nasz stary,
Z łez gorzkich krwawą rosą!

Do góry wzniesmy te puławy,
Które nam szczęście niosą!

O! nie staniemy dziś o świecie
Pod niebem smutnem, szarem;
Zaszumi wichrem barwne życie,
Zakipi uczuć żarem...

Niech błysnie światłem dzień ponury,
Owity mgły zasłoną!
Wdziemy na siebie szat purpury,
Te, które w słońcu płoną!

Porzucmy kije swe żebracze!
Nie tknijmy cierpień struny!
Niech zechną naszych bólów płacze!
Niech zgasną ognia łuny!

Gdy białe kwiaty szczęścia wzrosną,
Niech zabrzmi pieśń wesola:
— O, witaj, młoda, śpiewna wiosno!
Hymn życia ciebie wola.

Antoni Pilecki.

W oczach Zachodu.

4

POWIEŚĆ.

W rogu podwórka grunt zapadał się raptownie i Razumow, idąc za światłem latarni, wszedł małemi drzwiczkami do jakiejś podziemnej, długiej pieczary. W głębi trzy kudłate koniki stały ze zwieszonymi głowami, znacząc się mętnie w bladym świetle latarki. Była to zapewne owa sławna „Trójka“, na którą liczył Haldin. Razumow rozejrzał się lękliwie po mrocznym wnętrzu, a jego przewodnik kopnął nogą w słomę.

— Otóż i on. Ach! gołabeczek! Prawdziwy ruski człowiek. „Na dyabła smutki“ powiada. „Stawiaj butelkę i precz z naczyniem“. Ha! ha! ha! Taki to on.

Podniósł latarnię i oświecił postać leżącego człowieka, ubranego, jak do wyjścia. Głowa jego tonęła w spiczastej, sukiennej czapie. Z drugiego końca ukazywały się na słomie wyciągnięte nogi w olbrzymich, ciężkich butach.

— Zawsze gotów do jazdy — zauważył szynkarz. — Prawdziwy ruski jamszczyk. Święty czy dyabeł, noc czy dzień, to wszystko jedno dla Ziemianicza. „Nie pytam, kto jesteś, tylko gdzie cię mam zawieźć“ powiada. Zawiózłby samego szatana do piekła i wrócił poświstując na konie. Ho! ho! wielu takich, których on wozził, pobrzekuje dziś kajdanami w Nerczyńskich kopalniach.

Razumow wzdrygnął się.

— Zawołajcie go... obudźcie — wybelkotał.

Szynkarz postawił latarnię, schylił się i kopnął śpiącego. Ten otrząsnął się, ale nie zmienił postawy. Za trzeciem kopnięciem szynkarz westchnął głęboko:

— Sam baryń widzi, jak to jest. Zrobiliśmy, co się dało.

Podniósł z ziemi latarnię. Dziwaczne cienie zatańczyły dokoła. Razumowa ogarnęła wściekłość, straszliwa wściekłość samozachowawczego instynktu.

— A! Bydle przekłete! — ryknął jakimś nieludzkim głosem, aż latarnia podskoczyła w ręku szynkarza. — Daj mi... daj...

Rozejrzał się dziko dokoła, porwał widły stajenne i zaczął okładać niemi leżącego woźnicę, wydając jakieś niezrozumiałe okrzyki. Stopniowo zamilkł z wyczerpania i słysząc było tylko głuche uderzenia drewnianego narzędzia, padające na bezwła-

adne ciało. Było coś przerażającego w tej wściekłości razów i ogólnej dookoła martwocie.

Nagle rozległ się trzask. Widły pękły i złamana ich połowa poleciała w ciemność. W tej samej chwili Ziemianicz usiadł. Na ten widok Razumow znieruchomiał tak, jak szynkarz z latarnią; tylko piersi podnosiły mu się ciężkim oddechem, jak gdyby miały pęknąć.

Jakieś tępe poczucie bólu musiało przeniknąć poprzez kojącą noc pijaństwa, otulającą tę „jasną duszę“, którą tak Haldin chwalał. Ale jasnym było, że Ziemianicz nic nie widzi i nie wie. Zrenice jego zamigotały parę razy biało w świetle latarni i zgasły. Siedział przez chwilę z zamkniętymi oczyma jakby nad czymś rozmyślając, poczem znowu zwałił się w słomę, nie wydawszy najłżejszego dźwięku. Razumow wpatrywał się w niego z osłupieniem, nie mogąc złapać oddechu. Po chwili usłyszał lekkie chrapanie.

Cisnął złamane widły i wyszedł szybko, nie obejrawszy się za siebie ani razu.

Uszedłszy w ten sposób z jakieś sto kroków, zapadł w śnieg po kolana.

To go oprzytomniło. Zrozumiał, że zmylił drogę. Zawrócił, ale już wolniejszym krokiem. Gdy mijał dom, z którego wyszedł, pogroził mu, poczem opuścił rękę zniechęcony.

Namiętna rozpacz i namiętne pragnienie pociechy Ziemianicza sprawiły, iż doznał zawodu tam, gdzie liczył na pewno. Otóż to był lud. Prawdziwy ruski człowiek! Razumow był rad, że zbił to bydle, tę „jasną duszę“ tamtego. Tacy to oni byli: lud i zapalenie.

Pomiędzy tymi dwoma jemu, Razumowowi, przyjdzie zginąć! Pomiędzy pijaństwem chłopca niezdolnego do czynu a marzycielskim upojeniem idealisty, niezdolnego do trzeźwego ocenienia porządku rzeczy i istotnego charakteru ludzi. Był to rodzaj straszliwej dziecinady. Ale nad dziećmi jest władza. „Ach! bat! bat! Silna, twarda ręka!“ myślał Razumow i łaknął władzy, żeby mógł karać i niszczyć.

Tak; cieszył się, że zbił tego pijaka. Fizyczny wysiłek przyniósł mu pewne, duchowe uspokojenie. Z poprzedniego rozgorączkowania po-

została mu jedynie świadomość straszliwego niebezpieczeństwa i poczucie spokojnej, nienasyconej nienawiści.

Szedł coraz wolniej i, zważywszy, jak to gość oczekiwał go w domu, nie było w tem nic dziwnego, że się ociągał z powrotem.

Było to, jakby go tam czekała jakaś zaraźliwa choroba, która go może nie uśmierci, ale odbierze mu wszystko, dla czego żyć warto i świat zamieni w piekło.

Cóż on tam robił teraz? Leżał na łóżku, wywróconemi dłońmi zatykając oczy. Razumow ujrzał wyraźnie, jak na jawie, tę wyciągniętą postać, głowę wtłoczoną w poduszkę i sterczące do góry stopy.

— Zabiję go, gdy wrócę do domu — pomyślał w przystępie wściekłości.

Ale zrozumiał wnet, że to by się na nic nie zdało. Ten trup, uwieszony mu na szyi, będzie dlań taką samą zgubą, jak człowiek żyjący. Tu tylko zupełne zniszczenie mogło coś zdziałać. A to było niemożliwe. Więc cóż? Popęlić samobójstwo, żeby uniknąć klęski?

Rozpacz Razumowa była zbyt przepojona nienawiścią, żeby mógł przyjąć takie wyjście.

A jednak prawdziwa rozpacz ogarnęła go na myśl, że przyjdzie mu żyć pod jednym dachem z Haldinem nieokreśloną ilość dni w śmiertelnej trwodze za łada szelestem. Ale może, gdy się dowie, że „jasna dusza“ Ziemianicza uległa zaćmieniu pijaństwa, Haldin uniesie swą przekłętą rezygnację gdzieindziej. Na to jednak nie można było liczyć.

Razumow pomyślał:

— Mam być zmiążdżonym i nie mogę nawet uciec.

Inni ludzie mieli gdzieś jakiś kącik, jakiś domek na prowincyi, kędy mają prawo zawieźć swoje troski. Materyalne schronienie. On nie miał nic. Nie miał nawet moralnego schronienia — schronienia zaufania. Do kogóż pójdzie z tą opowieścią w tym wielkim, wielkim kraju?

Tupnął nogą, i pod miękkim dywanem śniegu uczył twardy grunt Rosyi, zimny, martwy, nieporuszony, jak ponura, tragiczna macierz, kryjąca twarz pod całunem — uczył grunt swój ojczysty, własny, bez ogniska, bez serca!

Rozejrzał się w koło i stanął zdumiony. Śnieg przestał padać i teraz, jakby cudem, Razumow zobaczył nad głową, czyste, czarne niebo północnej zimy, wyiskrzzone gwiazdami. Był to baldachim, godny nieskazitelnej białości śniegów.

Razumow doznał niemal fizycz-

nego wrażenia bezkresnej przestrzeni i niezliczonej ilości milionów.

Wyczuł to z właściwością rosyjczyka, zrodzonego do dziedzictwa przestrzeni i liczb. Pod wspaniałym bezmiar nieba śnieg pokrywał nieskończone lasy, zamrzle rzeki, równiny olbrzymiego kraju, zacierając krajobrazy, nierówności gruntu, niwelując wszystko pod swą jednostajną białością, czyniąc zeń potworną, pustą kartę, czekającą, by na niej spisano jakąś niepojętą historię. A na tym biernym gruncie roili się niezliczone gromady ludzi podobnych do Ziemianicza i garstka agitatorów podobnych do Haldina — mordujących bezmyślnie.

Był to rodzaj uświęconej martwoty. Razumow uczył dla niej szacunek. Głos wewnętrzny wołał na niego: „Nie dotykaj jej“. Była to rekojmia trwania, bezpieczeństwa, robota, nie namiętnych rewolucji — lecz pokoju. Martwocie tej potrzebna była nie zawierucha pożądań ludu, lecz wola silna i jedna; potrzebny jej był nie gwar zmieszanych głosów, lecz człowiek — mocny i jeden!

Razumow stanął na tym punkcie nawrócenia. Oczarowała go jego przepotężna logika. Bo bieg myśli nie jest nigdy fałszywym. Fałsz leży głęboko na dnie życiowych potrzeb, w tajemniczych trwogach i nawpół określonych ambicjach, w umiłowaniu nadziei i obawie niepewnego jutra.

W Rosyi, tym kraju widmowych idei i bezcielesnych aspiracji, wiele dzielnych umysłów zwróciło się wreszcie po daremnych wewnętrznych starciach ku jednemu historycznemu faktowi. Zwróciły się do autokracji po spokój swego patryotycznego sumienia, jak zmęczony niedowiarek, tknięty łaską, zwraca się ku wierze ojców po błogosławieństwo duchowego spokoju. I podobnie, jak inni rosyjanie przed nim, Razumow w niezgodzie z sobą samym, uczuł dotknięcie łaski na czole.

— Haldin dąży do rozkładu — myślał, zaczynając iść znowu. — Kimże on jest ze swem oburzeniem, ze swą gadaniną o niewolnictwie, o sprawiedliwości bożej? Wszystko to jest rozkładowe. Lepiej niech cierpią tysiące, niżby cały naród stał się rozczłonkowaną masą bezsilną, jak pył na wietrze. Obskurantyzm lepszym jest, niż światło pożarnych pochodni. Ziarno kiełkuje po ciemku. Z czarnej roli wychodzi na świat doskonała roślina. Ale wybuchy wulkaniczne są bezpłodne i niszczycielskie. I mamże ja, który kocham moją ojczyznę — który to tylko mam do kochania — mamże dopuścić, by

ten zagorzał fanatyk zniweczył moją przyszłość, może moją użyteczność dla kraju?

Łaska weszła całkowicie w Razumowa. Uwierzył teraz w człowieka, który przyjdzie w oznaczonym czasie.

Czemże jest tron? Kilku kawałkami drzewa obitego aksamitem. Ale tron jest również siedliskiem władzy. Rząd — to narzędzie! Ale dwadzieścia tysięcy pęcherzy nadętych najwznioślejszymi uczuciami i miotających się w powietrzu zajmują tylko niepotrzebne miejsce, nie posiadając żadnej władzy, żadnej woli, nie mając nic do dania.

Snuł dalej ten wątek myśli z niesłychaną łatwością i obfitością niezbitych argumentów.

Ogarnęło go jakieś posępne rozradowanie.

— Czemże są mętne rojenia tego zapaleńca w porównaniu z trzeźwym pojęciem mego umysłu? — mówił do siebie. — Alboż to nie mój kraj? Alboż nie mam czterdziestu milionów braci? — I to straszliwe lanie, jakie sprawił Ziemianiczowi, wydało mu się widomym znakiem ścisłego związku, rozrzucając surową koniecznością braterskiej miłości.

— Nie! jeżeli mam cierpieć, niechże przynajmniej cierpię za moje przekonania a nie za zbrodnię, którą mój rozum — mój wyższy, chłodny rozum — potępia.

Na chwilę zaprzestał myśleć. W piersi jego zapanowała zupełna cisza. Ale ogarnął go jakiś podejrzący niepokój, coś w rodzaju tego, gdy wchodzimy w jakieś nieoświetlone, obce wnętrze, — niewyrozumowane uczucie, że coś na nas skoczy z ciemności; lęk niewidzialny.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Polska pieśń ludowa o wojnie i żołnierzu.

P. Aleksander Słapa zebrał antologię „Polskiej pieśni ludowej o wojnie i żołnierzu“. W folklorze ludowym wojna i żołnierz zajmują poczesne miejsce. Lud odziedziczył te pieśni po szlachcie i przechował je w formie dawnej doskonale. W dziewiętnastym wieku mamy też pieśni ludowe pochodzenia już chłopskiego, ale w zwrotkach tych tylko głęboki zakłętó żal i współczucie dla żołnierskiej niedoli. P. Słapa o antologii swojej mówi: „Zebrana tutaj ludowa poezja o wojnie i żołnierzu ma być nie tylko obrazem

pieśniarskiej twórczości ludu, lecz przede wszystkim odbiciem duszy chłopca polskiego w chwilach ciężkich, w czasach wojny i żołnierskiej tułaczki“.

Antologię pieśni p. Słapa zaczyna starą dumą szlachecką: „Idzie żołnierz borem, lasem“, a kończy żołnierskim humorem. Wśród „żołnierskiego humoru“ zamieścił p. Słapa piosenkę: „Od Warszawy do Krakowa, wszędy droga nam gotowa“.

Antologia p. Słapy zasługuje ze wszechmiar na szerokie rozpowszechnienie. Dołą żołnierza interesują się przecież szerokie koła naszego społeczeństwa.

Nieboska Komedia.

Zdzisław Dębicki przygotował do druku, wstępem i komentarzami opatrzył „Nieboską Komedję“ Zygmunta Krasińskiego. Edycja ta jednak została wykonana według prof. Jana Czubka, gdyż, jak powiada we wstępie Z. Dębicki: „rękopis, z którego użytkował p. Czubek, o tyle jednak jest bliższy autografu, iż ręka poety poczyniła w nim ostateczne przed drukiem poprawki“. Co do zmian mówi p. Dębicki: „Zmiany, jakie poważyliśmy się wprowadzić, są bardzo nieznaczne. Dotyczą one tylko kilkakrotnej korekty formy „trza“ na prawidłową „trzeba“. Po za tem z należytym pietyzmem zachowaliśmy wszystkie swoje cechy oryginalne“ (Str. XIV). Dopiski i komentarze umieścił edytor na każdej stronicy za numeracją. Wstęp zaś doskonale wprowadza w świat idei „Nieboskiej Komedy“, a więc dla przeciętnego czytelnika jest pożądanym drogowskazem. Po za tem p. Dębicki wskazał na studia krytyczne, które ewentualnie mogą służyć zainteresowanemu czytelnikowi, jako materiały komentatorski pierwszorzędny. „Nieboska Komedia“ Z. Krasińskiego w edycji Z. Dębickiego wyszła w bibliotece „Muzy“.

Przegląd Pożarniczy.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej wypadkami wojennymi, ukazał się pod redakcją p. L. Ostaszewskiego pierwszy numer „Przeglądu Pożarniczego“, czasopisma, poświęconego sprawom pożarnictwa, ubezpieczeń od ognia i budownictwa ogniotrwałego.

W numerze tym, prócz artykułu wstępnego, skreślonego przez poprzedniego redaktora „Przeglądu Pożarniczego“, p. B. Chomicza, znajdujemy obfite materiały, poświęcone 1-szemu Ogólnokrajowemu Zjazdowi Straży Ognio-wych Królestwa Polskiego, jaki odbył się we wrześniu r. ub. w Warszawie, liczne ilustracje, kronikę bieżącą, korespondencje z prowincji, co wszystko składa się na urozmaicenie bogatej treści wznowionego pisma.

Należy się spodziewać, że „Przegląd Pożarniczy“ przyczyni się do ożywienia działalności naszych organizacji strażackich, zwłaszcza tych, które, wskutek wojny, znajdują się w stanie upadku.